

## **PRO MEMORIA. MASZERUJEMY KU WOJNIE POD SZTANDAREM POKOJU**

### **Strzeszczenie**

Tytuł jest zapożyczony od kilkakrotnie ponawianych ostrzeżeń Aleksandra Milleranda – ministra wojny i prezydenta Francji w latach 1920–1924, wieloletniego senatora, który nie dawał wiary pokojowym deklaracjom Niemiec. Klamrą spinającą tekst jest likwidacja w ramach prowadzonych akcji dekomunizacyjnych pomnika w Lesznie upamiętniającego 49 poległych żołnierzy radzieckich. Był to najstarszy oryginalny pomnik leszczyński powstały po odrodzeniu się państwowości polskiej. Odsłonięty został przed końcem II wojny światowej – w czerwcu 1945 roku. Wobec braku większości w Radzie Miejskiej decyzję powziął wojewoda wielkopolski. W ogólnej, nieraz nawet ogólnikowej narracji, będącej formą przedmowy do tomu poświęconego II wojnie światowej i jej następstwom, nacisk został położony na ukazanie niezwykle skomplikowanych i pogmatwanych relacji w wymiarze globalnym, europejskim i polskim. Sytuacja Polski była dramatyczna – przed wybuchem II wojny światowej groziła jej wasalizacja, możliwa zarówno z jednej, jak i drugiej strony.

**Słowa kluczowe:** II wojna światowa, militaryzacja niemiecka, wojna prewencyjna, Bolesław Wieniawa-Długoszowski, Władysław Sikorski, dekomunizacja w Lesznie

Dwa poprzednie tomy Rocznika koncentrowały uwagę na wydarzeniach podniosłych a zarazem przełomowych z punktu widzenia losów narodu i państwa polskiego. Tom 18 był poświęcony odrodzeniu państwowości, odbudowanej straszliwymi kosztami, sumującymi ponadwiekową walkę – orężną, ale i światłym pozytywizmem, którego nieodłącznym elementem była praca organiczna. Ale ta Odrodzona – także wyplakana i wymodlona – mogła się podnieść również dzięki nadzwyczajnemu zbiegowi historycznych okoliczności. Dwaj zaborcy znaleźli się wśród pokonanych, trzeci sam się wyłączył z koalicji w 1917 roku i nie mógł uczestniczyć w podziale wojennych łupów. Mam dość wyobraźni i wiedzy o mechanizmach rządzących polityką, by nie zadrzeć na myśl o pozostaniu Rosji w grze. Ziemie zamieszkałe nadal w dużej części przez ludność polską, przywiązana do języka i religii – wbrew kilkupokoleniowej kolonizacji, germanizacji i rusyfikacji – stały się fundamentem terytorialnym i demograficznym II Rzeczypospolitej. O jej kształt i miejsce w Europie toczyły się ciężkie boje, w których przemożną rolę odgrywało poparcie Francji. Tak wówczas, jak i przez kolejne lata w Paryżu panował wielki strach przed niemieckim rewanżem. Polska miała zastąpić na wschodzie Europy

utraconego sojusznika rosyjskiego. Zasługi Francji, rzecz jasna kształtowane wedle jej perspektywy i interesów, uwypukla finał Powstania Wielkopolskiego, zakończonego rozejmem w Trewirze 16 lutego 1919 roku. Wymuszone przez ten rozejm zaprzestanie walk zbrojnych na froncie niemiecko-powstańczym umożliwia Polakom świętowanie jedyne w zasadzie zwycięskiego powstania zbrojnego. Ta problematyka dominowała w tomie 19, gdzie także reprodukowano kontury mapy odradzającej się Polski – przed zakończonym powstaniem i po nim<sup>1</sup>.

Niniejszy, 20 tom Rocznika rodził się pod hasłem upamiętnienia osiemdziesiątej rocznicy agresji niemiecko-rosyjskiej na Polskę, z położeniem nacisku na jej reperkusje regionalne i lokalne. Nie mogło to oznaczać wy-preparowania tych wydarzeń z historii kraju, relacji z sąsiadami, a nawet polityki kontynentalnej, by nie powiedzieć światowej. Tak szerokie ujęcie, nawet w formie wprowadzenia do monstrualnie wielkiej problematyki okalającej II wojnę światową, nie jest w tym tomie obecne. Nie znaczy to, że można o tym kontekście zapominać. Nadgraniczne Leszno i najbliższy mu region znalazły się w oku militarnego cyklonu, opętanego dążeniem do zwycięstwa, po które sięgano w boju nieuznającym pardonu.

Dla wielu państw ta największa hekatomba w dziejach cywilizacji, ogarniająca 80% ludności świata, nie zaczęła się 1 września 1939 roku. Dzień ten bowiem bywa uważany za początek dwustronnego konfliktu między Polską i Niemcami (często tylko III Rzeszą), lekceważąco traktowany przez Wielką Brytanię i Francję, które podjęły *le drole de guerre*, kontynuowaną po 17 września, kiedy na ziemi polskie wkroczyły wojska radzieckie. Wymienione wyżej mocarstwa pojęcie II wojny światowej łączą z własnym zaangażowaniem bojowym. Dla państw zachodnich jest to maj 1940 roku, kojarzony z udziałem w walkach w Norwegii, a zwłaszcza oporem przed zwycięskim marszem Wehrmachtu przez Belgię do Francji oraz próbami desantu przez kanał La Manche; dla ZSRR to 22 czerwca 1941 roku. Jeszcze inaczej wygląda to z perspektywy Stanów Zjednoczonych, które od 7 grudnia 1941 roku znalazły się w wojnie z Japonią, co wywołało zachwyt Hitlera, wypowiedającego cztery dni później wojnę Ameryce.

Świat podzielił się niemal w całości na dwa obozy. Dla pokojowych stosunków na świecie katastrofalne skutki wywoływały działania takich państw jak Japonia, która zajmując w 1931 roku chińską Mandżurię, rozpoczęła trwającą czternaście lat wojnę o prymat w Azji i zwycięstwo jej wersji panazjatyizmu, czy Włochy, które w 1935 roku zapragnęły powiększyć swoje imperium kolonialne przez opanowanie jedyne *de facto* niepodległego państwa w Afryce, tj. Etiopii, by następnie kolaborować z nacjonalistami hiszpańskimi w niezwykajnie brudnej wojnie domowej, trwającej aż do pierwszych tygodni

---

<sup>1</sup> Wymowa tej mapy jest na tyle istotna, że widnieje na okładce mojej książki *O Powstaniu Wielkopolskim w jego setną rocznicę. Aspekty międzynarodowe, regionalne i lokalne*, Poznań 2019.

1939 roku. Z pewną przesadą można powiedzieć, że to na ziemi hiszpańskiej scementował się sojusz czarnych i brunatnych koszul. Błyskotliwe i ogromne sukcesy Hitlera zaczadziły Mussoliniego do tego stopnia, że 10 czerwca 1940 roku ruszył do boju przeciwko Francji, łacińskiej siostrze, przez lata znienawidzonej, a teraz tak pięknie upokorzonej.

Ogromna biblioteka nie pomieściłaby pozycji – nie tylko książek, ale i broszur, prasy, nie mówiąc o archiwaliach (nadzieja w internecie, ale kto to jest w stanie ogarnąć!) – poświęconych różnym aspektom funkcjonowania tego aliansu, jakoby przede wszystkim antykomunistycznego. Przez wiele lat określenie to zjednywało faszystom życzliwość i wyrozumiałość europejskiej i światowej prawicy. Jak bardzo było to powierzchowne, nawet pozorne i podporządkowane interesom politycznym ludzi owładniętych chęcią dominacji, znakomicie zaświadczył pakt Ribbentrop-Mołotow. Nie zmienia to faktu, że antykomunizm/anty bolszewizm był bardzo rozpowszechniony i popularny wśród wielu osób wszelkiej władzy. Obiektem szczególnej niechęci, wrogości i kpin były hasła mówiące o internacjonalistycznej współpracy ludów świata.

Po stronie przeciwnej rozwijał się nacjonalizm, zagarniający coraz większe obszary. Był on, jest i będzie w grupie najatrakcyjniejszych, ale zarazem najgroźniejszych prądów umysłowych cywilizacji. Wojna, agresja, tak w stosunkach międzynarodowych, jak i wewnętrznych, jest w ogromnej przewadze (zawsze?) wypadków skonsolidowana z nacjonalizmem. Innymi słowy – nacjonalizm jest żywną glebą, na której wojna rozkwita, każda wojna. Powyższe słowa mają przypomnieć, może nawet podkreślić, że pakt trzech, (Niemcy, Włochy, Japonia) jako mariaż ukształtowany na podstawach nacjonalistycznych, nie miał szans rozwojowych. Rozbieżność zasadniczych celów powodowała, że o żadnej zgodności interesów nie mogło być mowy. Każdy nacjonalizm widzi swój naród – oczywiście bez żadnych mieszaińców, jako wartość samą w sobie, ułożoną ponad wszystkimi innymi nacjami, które istnieją tylko po to, aby służyć wybrancom.

Podrzędność względów i przekonań o charakterze ideologicznym uwypukla powstanie podczas II wojny światowej tzw. wielkiej koalicji, której filary stanowiły Wielka Brytania (królestwo), ZSRR (dyktatura) i Stany Zjednoczone (demokracja parlamentarna). Pod jej skrzydła zaciągały się i akces zgłaszały kolejne pokonane kraje, niezależnie od przedwojennych systemów państwowych czy animozji i konfliktów. Do duetów wnoszących do wielkiej koalicji szczególnie dużo trudnych sytuacji należała Polska i Związek Radziecki. Towarzyszące tym sporom dylematy były rozstrzygane doraźnie z dominacją interesu wspólnego, jakim było pokonanie przeciwników. Słowo, propozycja, stanowisko, żądanie, oczekiwanie, decyzja... ważyły tyle, ile stało za nimi żołnierzy, czołgów, samolotów. Wszystko dla zwycięstwa – to nie było hasło ani frazes, to była frontowa rzeczywistość. Jej były też podporządkowane rozmowy Wielkiej Trójki i najróżniejsze kombinacje, nawet przetargi w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Wartość i militarne znaczenie, jak to się niejednokrotnie

podkreśla, sowieckiego kolosa na glinianych nogach były tak duże, że Stalin przeforsował niemal wszystkie swoje projekty, zwłaszcza te dotyczące organizacji polityczno-terytorialnej Europy Środkowo-Wschodniej. Jego wielkich partnerów przekonywała prosta kalkulacja: im więcej było wyłączonych z wojny żołnierzy niemieckich na froncie wschodnim, tym mniej musiało ginąć Brytyjczyków i Amerykanów. Na froncie wschodnim zginęło ok. 13 mln żołnierzy, partyzantów. Tę ogromną liczbę, za którą nieraz wstydliwie skrywają się indywidualne losy, dopełnia niemal drugie tyle cywilów...

Bipolarny świat – jakkolwiek fatalnie to brzmi – budował swoją taktykę i strategię najczęściej (i z reguły), nie bardzo licząc się z poglądami, oczekiwaniami i interesami średnich i mniejszych. Dotyczy to także oceny wkładu poszczególnych części składowych do wspólnego sukcesu. Wynoszenie zasług własnych nie jest żadną nowością ani nie jest też specjalnie naganne, jeśli nie towarzyszy temu deprecjonowanie lub pomniejszanie roli innych. Za niemal normalne uchodzi też dobieranie korzystnych dla siebie parametrów, na podstawie których można powiększyć, nawet upiększać swój wkład w zwycięstwo. Wymowne były i nadal są straty osobowe, oscylujące wokół 50 mln po stronie zwycięzców, z czego niemal połowa to żołnierze i cywile radzieccy; ogromne, stale tylko szacunkowe (10–20 mln) straty poniosły Chiny. Na ok. 6 mln strat obejmujących obywateli polskich niemal połowa została zlikwidowana w ramach *Endlösung der Judenfrage*. Było to przedsięwzięcie, w które zaangażowała się zdecydowana większość społeczeństwa niemieckiego. Zwolenników bez trudu znajdowali na całym świecie. Symbolizuje ich słynny i do dziś sławny Henry Ford.

Przytoczone liczby w sposób oczywisty zacierają społeczny i humanitarny wydźwięk toczących się zmagañ, precedensowych w dziejach świata. Dlatego wszystko lub niemal wszystko co się z II wojną światową łączy i z niej wynika, jest przedmiotem przeróżnych analiz, będących najczęściej lub tylko często swoistym przeciąganiem liny z nadzieją na pokazanie lepszego oblicza własnego. Proces ten rozpoczął się już podczas trwania wojny i nasilał się w miarę postępu i rozszerzania konfliktu, zwieńczonego atakami atomowymi na Japonię. W przeddzień pierwszego z nich, na Hiroszimę, wojnę Japonii wypowiedział Związek Radziecki. Tym bardziej nie milkną pytania dotyczące zastosowania broni atomowej, czego konsekwencje odczuwały pokolenia. Amerykanie takiego pytania nie zadają, świadomi, że zmuszenie Japonii do kapitulacji wymagałoby dalszych, trudnych do oszacowania ofiar.

Nie brakuje też rosyjsko-japońskiego wątku, kiedy przypomina się życiowe podejście Tokio do ZSRR w czasie katastrofalnie trudnych miesięcy po agresji niemieckiej. Samurajsko-panazjatycka i skrajnie militarystyczna polityka Japonii na Dalekim Wschodzie wymuszała stacjonowanie w tej części świata znacznych sił radzieckich, zasadniczo wolnych dzięki porozumieniu Ribbentrop-Mołotow. Ryzyko podjęcia działań wojennych w tym obszarze było stale obecne. W szczególnie dramatycznym okresie walk o Moskwę zimą

1941 roku brano nawet pod uwagę podjęcie rozmów z Niemcami na temat rozejmu. Antoni Czubiński napisał: „gdyby Stalin nie uzyskał pomocy ze strony państw zachodnich, prawdopodobnie nie miałby innego wyjścia”<sup>2</sup>. Podstawą tej pomocy była ustawa *Lend-Lease* podpisana przez prezydenta Franklina D. Roosevelta 11 marca 1941 roku, która umożliwiała dostawy krajom walczącym z faszyzmem wszelkiego sprzętu wojskowego na zasadzie leasingu. Jednym z głównych beneficjentów tej polityki Stanów Zjednoczonych, zanim jeszcze znalazły się one w stanie wojny, był Związek Radziecki. Była to pomoc na tyle znacząca w sensie wojskowym, że nadal funkcjonują wątpliwości odnośnie do zasadności tej decyzji z globalnej, bipolarnej perspektywy. Pozostawiając takie dylematy zaprawionym w bojach politykom, należy wskazać, że dostawy amerykańskie – wyrażone w zaktualizowanych wielkościach – miały wartość ok. 800 mld dol. i objęły najważniejsze państwa wielkiej koalicji z Wielką Brytanią, Chinami i Wolną Francją na czele, ale także mniejsze, jak np. Polska (11,5 mln dol.).

Trwająca i nasilająca się wojna w Europie stwarzała nadzwyczajne warunki do rozwoju produkcji, mającej nieograniczonego zbytu. Ale i ten element bywa odmiennie interpretowany, kojarzony z wcześniejszym niemal trzyletnim ociąganiem się Stanów Zjednoczonych z decyzją o przystąpieniu do I wojny światowej. Owo ociąganie się, kalkulowanie, pozwoliło zająć Ameryce pozycję bankiera świata i pierwszego mocarstwa gospodarczego. Analogie do II wojny światowej jakoby narzucają się same. W rozlicznych debatach wskazuje się na kolosalne zyski osiągnięte przez dwa i pół roku trwania wojny w Europie. Zachwycone swoją neutralnością społeczeństwo amerykańskie musiało (dla mnie słowo musiało jest ważne!) doznać wstrząsu. Dostarczył go atak japoński na Pearl Harbor 7 grudnia 1941 roku.

Terytorialny, demograficzny i militarny zasięg II wojny światowej powoduje, że wszystkie elementy z nią kojarzone są źródłem sporów, wywołujących przez różne, odmiennie, najczęściej sprzeczne punkty widzenia. Wśród nieskończonej liczby wątków ponadczasową uwagę przykuwa pytanie dotyczące przyczyn, a zatem i odpowiedzialności za jej wybuch i rozlewanie się na cały świat. Zasadniczo nie oszczędza się w tym wypadku żadnego z państw, ówczesnych przywódców politycznych, gospodarczych, związkowych, religijnych – wszystkich razem i każdego z osobna. Rozbiera się na elementarne części działalność organizacji i stowarzyszeń międzynarodowych mających

---

<sup>2</sup> A. Czubiński, *Europa XX wieku. Zarys historii politycznej*, Poznań 1997, s. 192. Zainteresowanym pogłębioną refleksją polecam jego dwutomowe dzieło *II wojna światowa 1939–1945* (Poznań 1999) oraz jednotomową, oszczędną pod względem edytorskim książkę z 2004 roku dostępną pod tym samym tytułem. Benon Miśkiewicz, twórca poznańskiej szkoły historyczno-wojskowej, w omówieniu tej pracy stwierdza, że uwzględnia ona różne punkty widzenia, a autor „wzniósł się ponad wszelkie determinizmy polityczne, bardzo obiektywnie oceniając udział sojuszników w działaniach wojennych”; B. Miśkiewicz, *Zainteresowania historią wojskowości*, [w:] Antoni Czubiński 1928–2003. *Życie i dzieło*, red. S. Sierpowski, Poznań 2004, s. 203.

ułatwiać współpracę między krajami i to niezależnie od ich ustroju. Uprzywilejowanym – w sensie negatywnym – obiektem krytyki była i jest Liga Narodów, która powstała po to, żeby zagwarantować pokój oraz ochraniać niezależność i integralność wszystkich jej członków. Łączyła, a raczej skupiała, ok. 50 państw świata, nigdy nie przystąpiły do niej Stany Zjednoczone, a tylko okresowo były obecne Niemcy, Japonia, Włochy i ZSRR, nadto kilka państw z Ameryki Południowej, w tym Argentyna i Brazylia. Sytuacja ta powodowała, że LN rządziły dwa państwa – Wielka Brytania i Francja. To one przede wszystkim wykorzystywały forum genewskie do uprawiania swojej polityki. Było to o tyle możliwe i ułatwione, że Liga własnej polityki nie miała i nie prowadziła. Jej międzynarodowa aktywność była wypadkową celów, jakie chciały za jej pośrednictwem realizować państwa w tejże organizacji najsilniejsze. Miała zagwarantować pokój, a skoro tego zadania nie wykonała, to powinna być uznana za najważniejszą winowajczynię wojny. Jest to przekonanie, czy może lepiej teza, bardzo rozpowszechnione, ale całkowicie błędne. Chętnie skrywają się za nim wszyscy niezadowoleni z istniejącego wówczas stanu terytorialnego Europy i świata. Zabiegi i dążenia do zmian, czyli rewizji nie stwarzały realnych nadziei ani szans na powodzenie. W grę wchodziły zatem gwałt i przemoc, także o charakterze politycznym i dyplomatycznym.

Rozległa paleta współodpowiedzialnych za wywołanie II wojny światowej służy także do parcelacji tej odpowiedzialności poprzez eksponowanie fatalnych rozwiązań polityczno-terytorialnych kończących Wielką Wojnę. Traktaty pokojowe narzucone pokonanym, w tym szczególnie traktat wersalski, były źródłem bardzo silnych społecznych emocji, które łączyły się w proteście przeciwko arbitralnym, ich zdaniem niesprawiedliwym decyzjom, wydanym przez sędziów we własnej sprawie. Zwłaszcza ogół Niemców, którzy z racji swojej pozycji w historii i ówczesnej Europie przewodzili niezadowolonym, nigdy nie zaakceptował art. 231 dyktatu wersalskiego mówiącego o ich wyłącznej odpowiedzialności za wojnę. Nie przebierali ani w słowach, ani w środkach, kiedy prezentowali swoje oburzenie, przeplatane z groźbami.

Po Europie krążyły nierzadko zatrważające sąsiadów informacje o gotowości różnych niemieckich grup paramilitarnych do rewanzu. Wśród najgłośniejszych znalazła się



Satyra prasowa w Stanach Zjednoczonych ostrzegająca przed mieszaniem się Amerykanów w sprawy europejskie  
Źródło: wolny dostęp elektroniczny.



paramilitarna organizacja Stahlhelm licząca w połowie lat dwudziestych blisko półtora miliona członków, w tym prawie 92 tys. oficerów. Dane z końca tej dekady mówiły o dwóch milionach członków stowarzyszeń paramilitarnych<sup>3</sup>. Budzące grozę rachunki obejmowały także rezerwy wyszkolone i kombatantów poniżej 35. roku życia, których liczbę oszacowano na 1,7 mln. Do tego bilansu dodawano 100 tys. żołnierzy Reichswehry, zdominowanych przez oficerów lub żołnierzy do tej roli sposobionych, oraz 60 tys. policji. Wielkim echem odbiło się preliminowanie w budżecie na 1931 rok budowy nowoczesnego pancernika Deutschland z niemal tysiącem marynarzy na pokładzie, długości 182 m i zasięgiem pływania 10 tys. mil morskich. Nie mniejszą trwożkę wywoływały wieści, rozpowszechniane przez pacyfistów niemieckich, ale także pochodzące z informacji wywiadowczych, o wydatkach wojskowych. Miały być one porównywalne z przedwojennymi. Już w latach dwudziestych w przeliczeniu na jednego żołnierza niemieckiego wynosiły blisko 7,5 tys. franków, podczas gdy we Francji 2210, Czechosłowacji 2467, Polsce 1116 franków<sup>4</sup>.

W trwających wiele lat poszukiwaniach współodpowiedzialnych za II wojnę światową wybitne miejsce zajmuje Adolf Hitler, który w sposób legalny 30 stycznia 1933 roku zasiadł na urządzie kanclerskim. Mianował go zgodnie z wolą parlamentu prezydent Paul von Hindenburg – wybitny marszałek, chluba i duma Niemców, notabene urodzony w Poznaniu. Nowy kanclerz wszem i wobec pokazywał swoją pokojową twarz, wygłaszał wielkie mowy o sprawiedliwości oraz współpracy we wszystkich dziedzinach. Słowo pokój należało do standardowo przywoływanych określeń w języku zwycięskich hitlerowców. Profesor Bogdan Koszel, znany i ceniony niemcoznawca, zwrócił moją uwagę na pobyt Goebbelsa w Warszawie, który 13 czerwca 1934 roku w obecności ok. 600 osób wygłosił na Uniwersytecie Warszawskim wykład zatytułowany *Narodowosocjalistyczne Niemcy gwarancją pokoju w Europie*. Słowo gwarant tłumaczy się nieraz jako orędownik. Gwoli jasności – określenie pokój znalazło się także w uzasadnieniu utworzenia, już w pierwszym roku swojego panowania, obozu koncentracyjnego dla wewnętrznych przeciwników i wszelkich „odmieńców”, nieraz po prostu nieudaczników, czyli wedle rasowych Niemców ludzi zbędnych.

Od wielu lat jestem także pod wrażeniem diagnozy prof. Franciszka Ryszki, recenzenta mojego doktoratu na temat genezy faszyzmu we Włoszech, obronionego ponad pół wieku temu, który w analizie rozwoju sytuacji w Niemczech hitlerowskich szczególne znaczenie przywiązywał do strachu i działań wywołujących groźbę w różnych kręgach społecznych. Zwłaszcza od czasu

<sup>3</sup> K.M. Szudarek, *Dyplomacja brytyjska wobec polityki Niemiec w Komisji Przygotowawczej Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie (1926–1930)*, Warszawa 2015, s. 240.

<sup>4</sup> E. Ruecker, *Niemcy, Prusy a Polska: kilka aktualnych faktów i uwag*, Kraków 1928, s. 67–68; K. Fiedor, *Niemiecki ruch obrońców pokoju 1892–1933*, Wrocław 1993, s. 303.

akcji nazywanej nocą długich noży z lipca 1934 roku „strach towarzyszyć miał [...] nie tylko uczuciom «motłochu», ale lojalnych i znajdujących się często w uprzywilejowanej pozycji socjalnej obywateli państwa [...]. Wróg musiał istnieć, a społeczeństwo musiało to podświadomie odczuwać i czuć, że nikt nie jest wolny od podejrzeń. W ten sposób tworzyła się gigantyczna psychoza strachu, a ona z kolei stanowiła jedną z sił napędowych brunatnego faszyzmu i znakomicie ułatwiała mu sprawowanie władzy”<sup>5</sup>. Przytaczając tę diagnozę, trzeba zarazem stwierdzić, że powinna ona być wzbogacona o niezwykle ważny element funkcjonowania narodowosocjalistycznej rzeczywistości społecznej. Chodzi o rolę wyrafinowanej propagandy, która spowodowała, że niemal całe społeczeństwo było ogłupione, a później oszołomione sukcesami. Także ludzie wysokiej kultury dali się uwieść oszukańczym mrzonkom o beneficjach możliwych do osiągnięcia przez historycznie wielki naród, wedle formuły silni zjadają słabych czy też nie mniej jednoznacznego, wypływającego z pychy stwierdzenia, że świat należy do ludzi silnych. Propaganda oparta na kłamstwie, półprawdach, przemilczeniach i żonglerce wartościami wyższego rzędu umożliwiała z równą ekspresją uzasadnianie hasel nawet wzajemnie sprzecznych, jak np. przekuć miecze na lemieszce, które znakomicie funkcjonowało obok zawołania: armaty zamiast masła!

Kierowana żelazną ręką, jednolita linia informacyjno-propagandowa wykorzystywała wszystkie instrumenty będące w dyspozycji państwa, budowanego od podstaw wedle eklektycznej doktryny, zmieniającej się i dostosowującej zależnie od potrzeb i celów. Prasa, radio, film, nawet rodząca się telewizja stały w jednym ordynku, powtarzając słowa i zwroty, które miały zalec w umysłach i duszach Niemców. Józef Goebbels tak to rozumiał: „naród najczęściej jest o wiele bardziej prymitywny, niż to sobie wyobrażamy. Istotą propagandy pozostaje więc niezmiennie uproszczenie i powtarzanie. Tylko ten, kto może sprowadzić problemy do najprostszej formuły i ma odwagę, mimo zastrzeżeń intelektualistów, nieustannie je w tej uproszczonej formule powtarzać, osiągnie zasadnicze sukcesy w oddziaływaniu na opinię publiczną. Kto wybierze inne drogi, może wpłynąć na ten czy inny chwiejny krąg intelektualistów, ale nie jest zdolny nawet powierzchownie dotrzeć do narodu”<sup>6</sup>.

Dalekosieżne zamiary Hitlera nie mogły być zaskoczeniem, jeśli Niemiec lub ktokolwiek inny sięgnął po *Mein Kampf*. Książka była obecna niemal w każdym niemieckim domu, ba, w każdej rodzinie – małżeństwa zawierane po 1933 roku otrzymywały ją w prezencie ślubnym. Naród niemiecki, kiedy głosował na kandydatów partii narodowosocjalistycznej i hajlował, na ogół wiedział, czego chciał Hitler i w jakim kierunku go poprowadzi. Zgadzał się też na program będący mieszaniną w gruncie rzeczy sprzecznych ze sobą

<sup>5</sup> F. Ryszka, *Państwo stanu wyjątkowego: rzecz o systemie państwa i prawa Trzeciej Rzeszy*, wyd. 2, Wrocław 1974, s. 307–308.

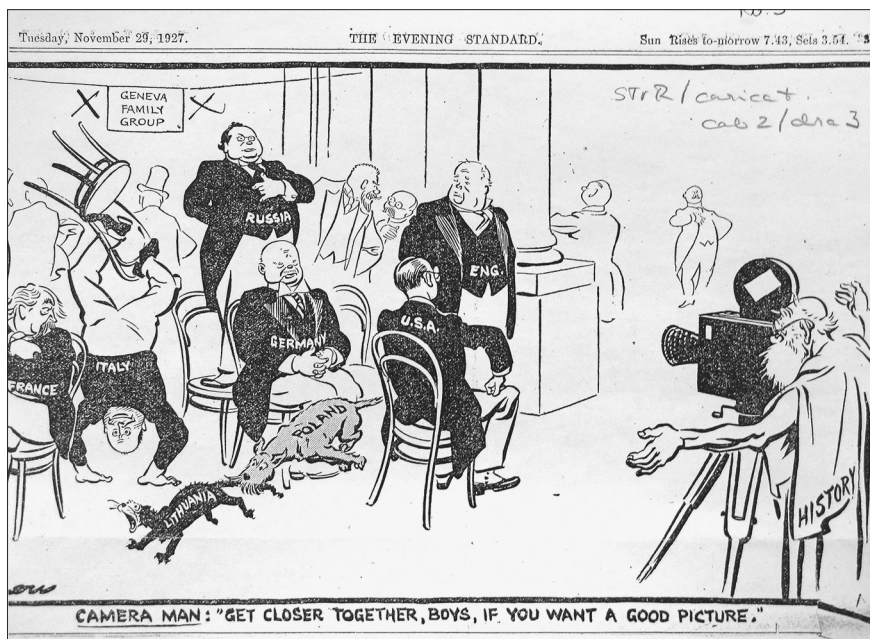
<sup>6</sup> J. Goebbels, *Dzienniki*, t. 2: 1939–1943, Warszawa 2013, s. 334.



poglądów o charakterze narodowym i socjalistycznym. Pierwszy człon to znakomicie eksploatowany hołd dla wilhelmińskiej i bismarckowskiej II Rzeszy; drugi zaś wypływał z wielkiego przywiązania dużej części Niemców do socjalnych zdobyczy epoki Bismarcka i najsilniejszej w ówczesnym świecie partii socjaldemokratycznej. Przyrastająca gwałtownie na początku lat trzydziestych liczba głosów oddanych na kandydatów z partii narodowosocjalistycznej to silny wzrost szabel w parlamencie pruskim i Reichstagu.

Zwycięstwo narodowych socjalistów i niemieckiej prawicy to kres Republiki Weimarskiej – coraz bardziej znienawidzonej i opluwanej jako niechciany, obcy płód haniebnego dyktatu wersalskiego. Miała zostać wymazana z pamięci narodu: po II Rzeszy pojawiła się III, nawiązująca do tradycji sprzed 1914 roku. Tzw. wielkie demokracje, czyli *de facto* w kontekście stosunków europejskich Francja i Wielka Brytania, nie bardzo przejęły się tą zmianą. Pociaszano się, że zapowiedziane w *Mein Kampf* projekcje to fantasmagorie spiswane z nudów w więzieniu. Oczywiście – chociaż wcale nie dla wszystkich jest to oczywiste – nie wchodziła w grę żadna wojna prewencyjna. Opowiada się o niej bez końca, często odwracając kota ogonem i jakby zapominając, że angielskie *prevent* czy francuskie *prévention* oznacza przede wszystkim zapobieganie. Najważniejszym elementem – chciałoby się powiedzieć instrumentem – wykorzystywanym w polityce brytyjskiej wobec kontynentu europejskiego była właśnie polityka odstępstw od niektórych, właściwie większości, postanowień traktatu wersalskiego.

Do uświęconej tradycją maksymy *splendid isolation* doszła formuła zainaugurowana przez premiera brytyjskiego Davida Lloyd George'a tuż po zakończeniu konferencji pokojowej w 1919 roku – *appeasement policy*. Na krytykę tej polityki, przede wszystkim przez Francję i związane z nią państwa, wylano morze atramentu. W końcu i Francja, pod naporem dominującego w życiu publicznym strachu przed niemieckim rewanżem, z którym w pojedynkę zmierzyć się nie chciała, przyłączała się do brytyjskiej marszruty. Sytuacja obu państw była jednak różna. Brytyjczycy przez cały okres międzywojenny unikali jak ognia wszelkich zobowiązań zawierających jakiegokolwiek gwarancje, zwłaszcza dotyczące integralności terytorialnej. Francuzi zaś byli powiązani z kilkoma państwami umowami o charakterze sojuszniczym. Wśród nich była także Czechosłowacja, rzucona na pastwę losu pod wpływem presji niemiecko-włoskiej, zasadniczo akceptowanej przez Brytyjczyków, jakoby w imię obrony pokoju oraz utrzymania równowagi sił na kontynencie. Mówienie, że Francja była zdolna, zwłaszcza ze społecznego i psychologicznego punktu widzenia, do podjęcia inicjatywy zbrojnej przeciwko Rzeszy – w jakimkolwiek zresztą czasie międzywojnia – łączę z budową tzw. linii Maginota. Okazała się ona całkowicie zbędnym drenażem budżetu. Budowniczo zapomnieli o belgijskiej furtce. Fragmenty jednej z najsławniejszych fortyfikacji XX wieku można zwiedzać do dziś. Wychylenie nosa za żelbetowe zasieki to próba



Udawanie rozbrojenia

Źródło: wolny dostęp elektroniczny.

kpiny ze zdrowego rozsądku. Jednocześnie głośno i ochoczo rozprawiano o rozbrojeniu, ale żadne państwo *de facto* nie traktowało tego serio.

Jeśli raz po raz i przy różnych okazjach pojawiała się teza o przygotowaniach Francji do wojny prewencyjnej, wspólnie z państwami, które okalały rozbrojoną Rzeszę i także chciały ją jeszcze bardziej pognębić, to miała w tym swój zasadniczy udział propaganda niemiecka. Po prostu – w obliczu zagrożenia musiała się sposobzić do odparcia każdego ataku, kolaborując zresztą ze wszystkimi, którzy chcieli ją wspierać w odbudowie sił zbrojnych, zakazanych w traktacie wersalskim. Już wiele lat temu nabrałem pewności, że ani wówczas, tj. w 1933 roku, ani w 1936, kiedy Niemcy złamały umowy lokarneńskie podpisane z własnej woli w 1925 roku, ani w 1938 roku, kiedy doszło do włączenia Austrii, a następnie rozbioru Czechosłowacji w wyniku targu dokonanego przez Wielką Czwórkę, ani też w roku 1939 Zachód wojny przeciwko III Rzeszy nie chciał, nie zamierzał prowadzić ani też jej w ogóle nie planował. Wręcz odwrotnie. Wszelkie targi tego czasu miały zgoła inny, nadrzędny cel – odsunąć ryzyko wojny jak najdalej od swojego domu. Czyli gdzie? Zagrożenie wojną prewencyjną ze strony Polski, czy to jako akcji samodzielnej, czy też jako bezwolnej sojuszniczki Francji, należało w Niemczech do bardzo rozpowszechnionych opowieści. Powtórzmy: miały one uzasadniać wobec zagranicy, ale i własnych obywateli konieczność wzmocnienia sił wewnętrznych

dla zagwarantowania bezpieczeństwa kraju i jego mieszkańców. To całkowicie odmienna – od naszej, polskiej – filozofia wojny prewencyjnej.

Nie możemy w końcu zapominać, że temat ten był obecny w propagandzie innych państw mających do Polski jakieś pretensje, zwłaszcza terytorialne. Było ich trochę – jawnie i konsekwentnie Litwa z powodu Wilna, Niemcy – choć głosiły, że chcą zmian tylko drogą pokojową, ZSRR nosił w sercu drżącą porażkę z lat 1920/1921, udokumentowaną pokojem brzeskim. Współpraca tych ostatnich, sformalizowana układem podpisanym w Rapallo w 1922 roku obejmowała działania na szkodę Polski, której kształt terytorialny i niezawisły byt wielokrotnie były kwestionowane. Zwłaszcza z propagandowej strony bardzo podkreślany był wojskowy charakter władzy w Polsce zdominowanej przez pułkowników z marszałkiem w roli głównej. Także to służyło uprawdopodobnieniu tezy, że zarówno sąsiad ze wschodu, jak i z zachodu może obawiać się wykorzystania Polski jako forpoczty organizującej siły europejskie do walki przeciwko jednej lub drugiej stronie. Moskwa oraz związane z nią siły skupione w III Międzynarodówce niezmiennie wietrzyły przygotowania do spisku przeciwko państwu robotników i chłopów. Ogół obywateli Rzeszy z kolei był przekonany, że pozbawiony armii z prawdziwego zdarzenia może stać się łatwym łupem. Nie przeszkadzało to jednak głosić, że likwidacja „krwawiczej granicy” (*blutende Ostgrenze*) oraz lepsze usytuowanie gospodarcze Wolnego Miasta Gdańska umożliwiłyby koncentrację Polski na polityce wschodniej, jakkolwiek rozumianej. Niejednokrotnie i polscy wojskowi, nieraz dyplomaci, a szczególnie domorośli politycy dawali pretekst do snucia takich mrzonek i spekulacji, które wśród historyków poszukujących przede wszystkim sensacji miały i nadal mają niemałą liczbę zwolenników<sup>7</sup>.

Odnotowania też wymaga obecność w polskiej myśli społeczno-politycznej, odosobnionych na szczęście, poglądów reprezentowanych przez polityków i publicystów powiązanych z endecją, przeciwz uwrażliwioną na zagrożenie niemieckie. W grupie dobrze znanych osób wymienić należy Stanisława Strońskiego, który 30 stycznia 1932 roku, a więc na rok przed kanclerską karierą Hitlera, na łamach „Słowa” pisał, że „nie rezygnuje on [Hitler – dop. St.S.] z Alzacji i Lotaryngii, pragnie on restytucji stanu posiadania Niemiec. Sprawa odszkodowań i sprawa uzbrojenia Niemiec – są to dla niego podstawowe kwestie, są to sprawy godności narodowej Niemiec, ich niepodległości”. To uwaga trafna, ale z zastrzeżeniem, że nie ograniczała się do Hitlera i jego wyznawców. Wszyscy Niemcy rozpamiętywali straty poniesione na skutek zmywy niemal całej Europy, nawet świata. Najczęściej przypominano, że w wyniku jednostronnych decyzji konferencji pokojowej w Paryżu, w której rej wodzili starzy wrogowie z Francją na czele, winowajcy wystąpili w roli

<sup>7</sup> Kopie kruszę w tej sprawie już wiele lat, zob. m.in. S. Sierpowski, *O wojnie prewencyjnej* [polemika z O. Terleckim], „Życie Literackie”, 8.08.1983, s. 3–4, obszerniej w: *Wojna prewencyjna w szerszym kontekście*, „Wiadomości Historyczne” 1984, nr 1, s. 15–31 (dostępne w WBC).

sędziów. Pod adresem Paryża kierowano wszelkie pretensje i oskarżano go o całe zło, które było udziałem przeciętnego mieszkańca Niemiec. Wymowne przez lata pozostawały liczby – utrata 70 tys. km<sup>2</sup> z 6,5-milionową ludnością. Wypominano i przypominano, że najboleśniejże straty terytorialne i ludnościowe poniesiono na rzecz Polski. Poznańskie i Pomorze to 42 tys. km<sup>2</sup> i 3 mln ludności. Do tego dochodzi milion Górnolązaków. Niemcy poprzez uczestniczenie w rozbiorach i zajęcie ziem polskich przyzwyczaili się traktować mieszkańców Wielkopolski i Pomorza jako mniejszość, czasami dokuczliwą, podobną do mniejszości duńskiej w Szlezwiku-Holsztynie. Po latach ich pracy nad podniesieniem poziomu życia mieszkańców tych ziem, której towarzyszyła intensywna kolonizacja, nie mogli pojąć, jak można było wywołać Powstanie Wielkopolskie i zwrócić oręż przeciwko swoim dobroczyńcom. W tym swoistym rankingu utrata 15 tys. km<sup>2</sup> i 1,8 mln mieszkańców Alzacji i Lotaryngii jawiła się – relatywnie – jako mniej bolesna. Była to przy tym strata jakby emocjonalnie mniej dotkliwa, bo na rzecz mocarstwa i ważnego państwa w Europie, z którym rywalizacja o te ziemie trwała od wieków. Natomiast po drugiej stronie granicy pomniejszonej Rzeszy straty deprimowały tym silniej, że w roli zwycięzcy pojawiły się narody nieraz nawet pogardzane.

Była to wiedza powszechna, także dla przywołanego wyżej Stanisława Strońskiego. Dlatego zdziwiło mnie, że doradzał Polakom odejście od obrony traktatów kończących I wojnę światową, których jednym z najpoważniejszych beneficjentów była właśnie Polska. Na zakończenie sporego artykułu opublikowanego 7 maja 1931 roku w dzienniku „Słowo” namawiał do porzucenia polityki konserwacji obecnych traktatów, gdyż „w nowym układzie stosunków Polska może zapewnić nienaruszalność swoich terytoriów, a nawet mieć pewne zdobycze jak przekreślenie tych ustępstw terytorialnych, które zniewoleni byliśmy dać Czechom, gdy wojska bolszewickie szły na Warszawę”. Oczywiście miał na myśli Zaolzie, którego zajęcie umożliwiała „monachijskim zdrajcom” wskazywanie na Polskę jako współwinowajczynię rozbioru Czechosłowacji w 1938 roku. Akcja ta pozawalała Polakom, przynajmniej dużej ich części, na przeżywanie wielkich dni chwały. Wśród powszechnych zachwyty min. Józef Beck zaszczycony został doktoratami honoris causa i udekorowany Orderem Orła Białego. Był to jednak jednocześnie łabędzi śpiew linii 26 stycznia symbolizującej współpracę i porozumienie niemiecko-polskie, oparte na układzie o niestosowaniu przemocy z 1934 roku. Definitywnie zaś kończył się bałamutny i nieadekwatny do rzeczywistości slogan o równej odległości Warszawy od Berlina i Moskwy. Poprawne, nawet dobre stosunki łączyły Polskę i ZSRR jedynie w latach 1932–1934. Później rządy polskie, zachwycone, podobnie zresztą jak wszystkie inne państwa zainteresowane pacyfikacją Europy, porozumieniem z Niemcami, dokładały wszelkich starań, aby te dobre relacje dominowały. Z natury rzeczy schładzało to stosunki między Warszawą i Moskwą, powszechnie, niezmiennie i ostro atakowaną z pozycji antykomunistycznych. Tym samym dramatyczny okres poprzedzający agresję Niemiec

charakteryzował się niechęcią i wrogością obu wielkich sąsiadów. Z jednej strony sytuację pogarszała stanowcza postawa rządu polskiego sprzeciwiającego się porozumieniu negocjowanemu w Moskwie z przedstawicielami Wielkiej Brytanii i Francji odnośnie do przejścia przez terytorium państwa polskiego wojsk radzieckich. Z drugiej strony nasi najważniejsi sojusznicy specjalnie nie naciskali ani też nie pospieszali. To Hitler dokonał kolejny raz wielkiej wolty, którą zaskoczył wszystkich, także Rosjan<sup>8</sup>.

Profesor Janusz Faryś, który całe swoje zawodowe życie poświęcił na badania polskiej myśli politycznej okresu międzywojennego, w konkluzji dopiero co opublikowanej książki napisał, że polskie możliwości wyboru lokowały się w 1939 roku między satelitaryzacją a wojną. „Nie było to rezultatem niedostatków polskiej myśli politycznej, ale wynikało to z postawy demokracji zachodnich, które za ułudę pokoju gotowe były płacić ustępstwami wymuszonymi na sojusznikach. Zachód nie był w stanie podjąć działań wymaganych od mocarstw [...]. Druga Rzeczpospolita była skazana na klęskę. Wschodni i zachodni krytycy polityki Becka oraz rządzącej ekipy sanacyjnej zapominają, że przyjęcie przez Polskę propozycji niemieckich byłoby gruntownie zmieniło konfigurację międzynarodową, ułatwiło III Rzeszy politykę dalszej agresji na zachód oraz ZSRR”<sup>9</sup>. Geopolityka wyznaczała miejsce Polski w czasie nadciągającej burzy. Nieaktualne było pytanie – jeśli w międzywojennych warunkach było ono w ogóle zasadne – z którym sąsiadem współpracować na partnerskich warunkach i ewentualnie przeciwko komu. Odnosiło się to także do sojuszniczej Francji oraz myślącej kategoriami imperialnymi Wielkiej Brytanii. Tę, w istocie dramatyczną, alternatywę widzieli wszyscy i każdy z osobna. Minister Józef Beck w liście do ambasadora Józefa Lipskiego w sierpniu 1938 roku odrzucał sugestię stanowczych reakcji na postępowanie hitlerowców w Wolnym Mieście Gdańsku: „jeślibyśmy nawet poszli «na ostro» z Hitlerem, to kto nas poprze? Przecież sprzedano by nas jak bułkę za grosz. Twoje założenie ambasadorze jest słuszne, ale nie ma po temu ani sił potrzebnych, ani odpowiedniego klimatu na zachodzie”<sup>10</sup>. Miesiąc później była sławna konferencja monachijska...

Powyższe wyznanie znacznie zmniejszyło mój krytycyzm wobec min. Becka i polskiej polityki zagranicznej w latach trzydziestych. Jego miejsce zajęło większe zrozumienie, a nawet pewna wyrozumiałość. Nie obejmuje ona jednak oceny sytuacji wewnętrznej, sprowadzonej do pytania o współdziałanie

<sup>8</sup> S. Żerko, *Wymarzone przymierza Hitlera. Wielka Brytania w narodowosocjalistycznych koncepcjach i w polityce III Rzeszy do 1939 r.*, Poznań 1995; tenże, *Niemiecka polityka zagraniczna 1933–1939*, Poznań 2005.

<sup>9</sup> J. Faryś, *Między Moskwą a Berlinem. Wizja polskiej polityki zagranicznej 1918–1939*, Szczecin 2019, s. 360–361.

<sup>10</sup> Więcej zob. S. Sierpowski, *Polityka zagraniczna Polski międzywojennej*, Warszawa 1994, s. 64; tenże, *Ewolucja sytuacji międzynarodowej u schyłku okresu międzywojennego*, [w:] *17 września 1939*, red. H. Batowski, Kraków 1994, s. 103 i n.



rządu i opozycji. Trudno w warunkach Polski sanacyjnej mówić o klasycznej opozycji, zasadniczo rozbitej na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych, co spowodowało emigrację kilku wybitnych przedstawicieli ruchu ludowego, z Wincentym Witosem na czele, i polskiej chadecji, której ton nadawał Wojciech Korfanty<sup>11</sup>. Wymienieni politycy zamieszkali w Czechosłowacji, co dodatkowo irytowało Marszałka, który o Edwardzie Beneszu wyrażał się per d...k. Wojciech Korfanty – wielki polski Ślązak – po wypowiedzeniu przez III Rzeszę układu z Polską zdecydował się w kwietniu 1939 roku na powrót do kraju. Zadeklarował, mimo że miał 67 lat, wolę uczestniczenia w walce z Niemcami. Deklaracja ta opierała się na jego wybitnych dokonaniach sięgających zaborów, Powstania Wielkopolskiego i powstań śląskich. Został jednak zatrzymany i osadzony na Pawiaku, gdzie ciężko zachorował. To była główna przyczyna jego zwolnienia 20 lipca 1939 roku. Operacje chirurgiczne nie dały pozytywnego efektu; zmarł 11 sierpnia. Łobuzerstwo każdej władzy plami cały naród.

Mimo dramatycznie pogarszającej się sytuacji międzynarodowej sanacyjny rząd, którym w ostatnich kilku latach II RP kierował gen. Felicjan Sławoj-Składkowski, nie podjął próby poszerzenia bazy społecznej ani też utworzenia rządu jedności narodowej. Oficerowie, do których rząd sanacyjny nie miał zaufania, na próżno deklarowali chęć powrotu do służby. Nadal obowiązywał podział na swoich i nie naszych. Doświadczył tego m.in. gen. Władysław Sikorski. Ten wielce zasłużony dowódca z wojny polsko-rosyjskiej 1920–1921, premier rządu i minister, został przeniesiony w 1928 roku do dyspozycji ministra spraw wojskowych, który jednak nie widział potrzeby korzystania z jego usług. W kampanii polskiej w 1939 roku, pomimo starań, nie uzyskał przydziału bojowego. Granicę polsko-rumuńską przekroczył 18 września i udał się do Paryża, w którym wielokrotnie gościł i przebywał. Należał do wybitnych i powszechnie znanych oficerów podkreślających wagę i wartość sojuszu z Francją.

Planowane powierzenie mu dowództwa nad tworzącym się wojskiem polskim we Francji skomplikowała decyzja prezydenta Ignacego Mościckiego powzięta 17 września 1939 roku, która wyznaczyła gen. Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego, ówczesnego ambasadora we Włoszech, na następcę prezydenta RP. Wywołało to burzę wśród przeciwników sanacyjnej władzy, potępianej i odsądzonej od czci i wiary jako odpowiedzialnej za klęskę. Decyzja prezydenta Mościckiego nabierała mocy po ogłoszeniu jej w „Monitorze Polskim”, opublikowanym 25 września. Nacisk Francji, wspartej przez Brytyjczyków, spowodował, że prezydent Mościcki zmienił zdanie i na swego następcę mianował Władysława Raczkiewicza, wprawdzie senatora z listy BBWR, ale blisko z nim współpracującego w ramach tzw. grupy zamkowej.

<sup>11</sup> Nadal podstawowe: A. Czubiński, *Centrolew: kształtowanie się i rozwój demokratycznej opozycji antysanacyjnej w Polsce w latach 1926–1930*, Poznań 1963.





Gen. Władysław Sikorski (1881–1943)  
– premier i naczelny wódz w latach  
1939–1943

Źródło: wolny dostęp elektroniczny.



Gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski  
(1881–1942) – kawalerzysta, polityk

Źródło: wolny dostęp elektroniczny.

Odpowiednie zarządzenie ukazało się w „Monitorze Polskim” 29 września 1939 roku. Tak więc od 25 do 29 września 1939 roku Wieniawa był następcą Prezydenta Rzeczypospolitej. Z kolei gen. Sikorski 28 września został wyznaczony na dowódcę polskich sił zbrojnych we Francji, a dwa dni później prezydent mianował go premierem i ministrem spraw wojskowych, nieco później Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych.

Wydarzenia te w sposób symboliczny, ale i dramatyczny złączyły losy osobiste dwóch wybitnych Polaków – generałów, o bogatej karierze i nietuzinkowej osobowości. Kiedy gen. Sikorski nie mógł doczekać się czynnego zaangażowania w wojsku, pułkownik, od 1938 roku generał dywizji Wieniawa-Długoszowski sięgał wyżyn popularności, i to nie tylko w wojsku. Lekarz weterynarii, legionista od 1916 roku był opisywany i pamiętany jako dusza każdego towarzystwa, z łatwością przełamujący bariery wojskowe i towarzyskie. Był oczekiwanym uczestnikiem imprez kawalerskich, bywalcem w klubach i restauracjach, biesiadnikiem o mocnej głowie. Na jego temat, w tym o jego specyficznym poczuciu humoru, ale i honorze oficera kawalerzysty, krążyły legendy. Równocześnie był człowiekiem o szerokich horyzontach i wyjątkowej umysłowości, zaprzyjaźniony z artystami, ludźmi pióra; sam pisał wiersze i tłumaczył francuskich poetów i autorów dzieł filozoficznych. Przede wszystkim zaś był jednym z najbliższych, najbardziej zaufanych współpracowników marszałka Piłsudskiego, który kilkakrotnie powierzał mu delikatne misje. Człowiek ten, jak to wspomniano wyżej, raczej dość niespodziewanie



Dokument potwierdzający immunitet dyplomatyczny ambasadora polskiego w Rzymie  
 Źródło: Archiwum Akt Nowych, wolny dostęp elektroniczny.

stanął na drodze politykom i wojskowym, którzy zamierzali kontynuować udział w wojnie wspólnie z Francją i Wielką Brytanią, ale bez winowajców kłębski wrześniowej. Chociaż zagrożenie ze strony Włoch zostało usunięte, to jednak powołany w Paryżu rząd nadal reprezentował on w Rzymie jako ambasador. Miał tam mocną pozycję i pozostawał w przyjacielskich stosunkach z wieloma politykami włoskimi, z min. spraw zagranicznych Galeazzem Cianem na czele (zięciem Mussoliniego). Miało to niewątpliwie wpływ na nadzwyczajne ułatwienia, jakie Włosi, przecież najbliższy sojusznik Niemiec, czynili jakoby robotnikom polskim, którzy zdążyli z Rumunii do Francji<sup>12</sup>. Była to wielka i ważna część działalności placówki rzymskiej. Chociaż więc Wieniawa należał do elity sanacyjnej Polski, w dodatku był uznanym bekiem (i przyjacielem Becka), pozostawał na swym stanowisku także dlatego, że po jego odwołaniu uzyskanie akredytacji dla następcy było zasadniczo wykluczone. Ambasada RP została zamknięta w czerwcu 1940 roku wraz z agresją Włoch na Francję.

<sup>12</sup> Po potwierdzeniu informacji o wyjeździe rządu polskiego z kraju 17 września min. Galeazzo Ciano obiecał rozbitemu moralnie i zapłakanemu (sic!) Wieniawie, że uchodzący polscy „znajdą gościnę i opiekę na ziemi włoskiej”; więcej S. Sierpowski, *Stosunki polsko-włoskie w latach 1918–1940*, Warszawa 1975, s. 611 i n.

Wraz z wybuchem wojny karta się odwróciła. Prośby generała dywizji adresowane do władz wojskowych znajdujących się już w Londynie o skierowanie go na jakiegokolwiek stanowisko do armii nie zostały wysłuchane. Z żoną i córką wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie miał się różnych przygodnych zajęć. Podczas prowadzonych w cztery czy rozmów z gen. Władysławem Sikorskim, kiedy premier przyjeżdżał do Nowego Jorku, zapewne informował o woli pracy w imię jedności i nadrzędnego interesu narodowego. Musiał być przekonujący, skoro w marcu 1942 roku otrzymał propozycję objęcia stanowiska posła na Kubie. Do Hawany jednak nie dojechał – 1 lipca 1942 roku popełnił samobójstwo, skacząc z trzeciego piętra wynajmowanego mieszkania w Nowym Jorku.

Przez wiele lat byłem przekonany, opierając się na relacji płk. Mariana Romeyki, attaché wojskowego w Rzymie i dobrego współpracownika Wieniawy, że samobójstwo było skutkiem napiętnowania ze strony piśsudczyków za podjęcie współpracy z gen. Sikorskim. Znając nieco stosunki okalające rząd londyński oraz śledząc raporty i listy Wieniawy przekazywane z Rzymu do Warszawy i osobiście min. Becka, przesiąknęłam jego troską o Polskę, znajdującą się coraz wyraźniej w kleszczach sąsiadów. Wpisywałem i wpisuję tę troskę i obawy w niezwykle brutalne, nasilone w 1942 roku ataki na wszystkich, których na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej napiętnowano za klęskę wrześniową. Temu napiętnowaniu towarzyszyło odgrywanie się za wcześniejsze upokorzenia. Moje rozumowanie szło i idzie następującym torem: ten Wieniawa – najbliższy z najbliższych zaufanych Komendanta, powiernik min. Becka i elity elit przedwojennej Polski, wyróżniony przez prezydenta Mościckiego nominacją na swego następcę – ten wielki Wieniawa ukorzył się przed jednym z najbardziej zagorzałych wrogów Marszałka. Dlatego narracja płk. Romeyki wydawała mi się przekonująca. Dodam jeszcze, że Wieniawa miał już wykupione bilety z datą 2 lipca. Tymczasem prof. Marian Wołos wyprowadza mnie z błędu, a przynajmniej podejmuje taką próbę w sposób odpowiedzialny i poważny. Twierdzi on mianowicie, że Wieniawa przystał na propozycję premiera przymuszony brakiem środków do życia i zatroskany o los żony i córki. Zginął jako urzędnik państwowy, co dało wdowie niewielką rentę. Miał 61 lat<sup>13</sup>.

Dość arbitralnie zestawione biogramy dwóch generałów mają i ten znak szczególnie, że Naczelnny Wódz Wojska Polskiego rok później rozstał się z życiem również w tragicznych okolicznościach. Zginął 4 lipca 1943 roku

<sup>13</sup> M. Wołos, *Generał dywizji Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Biografia wojskowa*, Toruń 2000. Wieniawa jest mi szczególnie bliski, bo zszedł z tego świata, kiedy ja się na nim pojawiłem. Emocje nie są dobrym doradcą, ale nie lekceważyłbym nadal bardzo licznych znaków zapytania, w tym zeznań taksówkarza, który obserwował zajście z drugiej strony ulicy: „On nie skoczył, po prostu spadał. Tak jakby już nie żył tam, na górze”. A poza wszystkim zupełnie nie pasuje mi do wizerunku eleganckiego, niezwykle dbającego o formy zewnętrzne generała dywizji z pierwszą lokatą w korpusie generałów, który powodowany troską o byt małżonki i córki, popełnia samobójstwo w pizamie.

w katastrofie lotniczej koło Gibraltaru. Także okoliczności tej śmierci nadal pozostają zagadkowe. Jeśli jednak w przypadku Wieniawy mamy do czynienia z ewentualną rozgrywką o charakterze wewnętrznym, to śmierć gen. Sikorskiego – premiera i naczelnego wodza – ma także lub przede wszystkim wymiar międzynarodowy. Tak tylko można rozumieć postępowanie kolejnych rządów brytyjskich, które konsekwentnie blokują dostęp do dokumentacji ze śledztwa. Wzmaga to spekulacje i pomówienia adresowane pod adresem Londynu, że w tej sprawie nie miał czystych rąk<sup>14</sup>.

Posiłkując się tekstem dr Elżbiety Olender opublikowanym w tym tomie na temat wiadomości zamieszczanych w sierpniu 1939 roku na łamach „Głosu Leszczyńskiego”, można by do tego subiektywnie dobranego rejestru generalskich dramatów dołożyć Edwarda Rydza-Śmigłego. Z tego artykułu wynika, że to właśnie marszałek Rydz-Śmigły był najpoważniejszą nadzieją Polaków, jeśli uznać, że „Głos Leszczyński” ich właśnie reprezentował, acz w mikroskali. Autorka przytacza tytuły niektórych artykułów lub widniejące w nich stwierdzenia, w takim oto przykładowym brzmieniu: „Odeprzemy wszystkimi środkami bez reszty każdą próbę bezpośredniego czy pośredniego uszkodzenia praw i godności naszego Państwa – oświadczył Marszałek Śmigły-Rydz w Krakowie” (8 sierpnia); „Nie piszemy o potędze militarnej Polski, gdyż wiemy wszyscy, że posiadamy jedną z najlepszych armii w świecie, świetnie uzbrojoną, odpowiednio liczną, mającą znakomite lotnictwo, doskonały korpus oficerski i najbardziej bitnego żołnierza na świecie” (26 sierpnia); „Pamiętamy, iż nad bezpieczeństwem kraju czuwa zwycięska armia pod wodzą bohaterskiego Marszałka Śmigłego-Rydza, a każdy z nas w miarę swych możliwości i najlepszych chęci zobowiązany jest służyć na odcinku swej codziennej pracy Ojczyźnie” (31 sierpnia). Wyróżniające traktowanie przez „Głos Leszczyński” gen. Rydza-Śmigłego jest tym bardziej widoczne, że zawierając autorce, do obiegu społecznego nie byli włączani inni politycy rangi ogólnopolskiej. Polska endecka nie widziała Polski sanacyjnej. Nie jest obecny na łamach dziennika ani prezydent Mościcki, ani premier Sławoj-Składkowski, w ogóle nie pojawia się także nazwisko min. Józefa Becka, którego przemówienie w Sejmie RP 5 maja 1939 roku miało – według części autorów – wstrząsnąć Polską i Europą, dając zarazem mocny impuls do wzmożonej ofiarności ogółu obywateli na rzecz Funduszu Obrony Narodowej. Ani razu nie pojawia się na łamach leszczyńskiej gazety bodaj najważniejsze wówczas hasło sanacyjnej władzy: silni – zwarci – gotowi. Rzeczywistość była zgoła odmienna; bez żadnej wątpliwości nie byliśmy zwarci, przede wszystkim pod względem politycznym. Nad Polską rozpościerały się dwa wzajemnie niechętnie, a nawet wrogie skrzydła, chociaż ich liderzy już spoczywali w grobie. Pod przytoczonym powyżej hasłem nie podpisywała się większość obywateli

<sup>14</sup> Pochowany został na cmentarzu polskich lotników w Newark k. Nottingham, od 1993 roku jego prochy spoczywają w krypcie św. Leonarda na Wawelu.

zaliczanych do mniejszości narodowych, tj.  $\frac{1}{3}$  społeczeństwa.

Powracając do tekstu dr Olender, można odwołać się do informacji zamieszczonej 5 sierpnia, w której „Głos Leszczyński” informował o zebraniu Stronnictwa Narodowego tuż nad granicą niemiecką w Długich Starych. Napisano tam: „Zmiana dzisiejszego kierunku polityki zagranicznej Polski jest zwycięstwem jego myśli i ducha (R. Dmowski-go). [...] jedyną organizacją polityczną, która obok Armii naszej pracuje i wychowuje bojowo naród i przygotowuje moralnie do wojny jest Stronnictwo Narodowe obóz walki”. Łamy gazety czytanej przez mieszkańców Leszna były życzliwe wobec marszałka Rydza-Śmigłego, należącego przecież do najściślejszej elity władzy obozu sanacyjnego. Powszechnie wiadomo, że los obszedł się z nim okrutnie: 16/17 września naczelny wódz zostawił swoją armię i wraz z rządem przekroczył granicę Polski. Dawniejsza propaganda, którą pamiętam, eksponowała kontrastowe sytuacje – przelewających krew żołnierzy, w ogromnej przewadze pochodzenia chłopskiego, i ewakuujące się małżonki oficerów – zatroskane, aby w transportowym rozgardiaszu nie stała się krzywda ulubionym zwierzątkom, nie tylko pieskom, ale i kanarkom. I co ma z taką pamięcią począć pacyfista i miłośnik braci mniejszych?

„Głos Leszczyński” nie miał własnych korespondentów nie tylko za granicą, ale i w kraju. Posiłkował się doniesieniami agencyjnymi, zapożyczając myśl polityczną i społeczną od bliskiej mu endecji. Był to dziennik „katolicki bezpartyjny dla wszystkich stanów”. Jest on kopalnią faktów o historii miasta, gdyż ukazywał się przez cały okres międzywojenny. W gęstniejącej atmosferze towarzyszącej zbliżaniu się kraju do wojny nie mógł publikować tzw. newsów, zatapiających często półprawdami i różnymi prowokacjami. Nierzadko istotne informacje podawał z opóźnieniem, mając stosunkowo słabego konkurenta w postaci radia. Nie znaczy to oczywiście, by rolę informacji płynących z radiodbiorników pomniejszać. Nie ulega jednak wątpliwości, że w ówczesnych warunkach dostęp miały do nich środowiska inteligenckie. Janusz Żarnowski – historyk wybitny, przez wiele lat zajmujący się pozycją inteligencji w międzywojennej Polsce – przy każdej sposobności podkreśla,



Marszałek Edward Rydz-Śmigły (1886–1941) – naczelny wódz w latach 1935–1939

Źródło: wolny dostęp elektroniczny.



że inteligencja to nie tylko elita intelektualna każdego społeczeństwa i narodu, ale także element twórczy w krzewieniu kultury narodowej. Wśród mediów będących w jej dyspozycji było także radio, którego przed wojną stale słuchało w Polsce ok. 6 mln osób. Chociaż w rachunku tym nie uwzględnia słuchania zbiorowego, dość wówczas rozpowszechnionego, to i tak możemy mówić, że wiadomości przez nie przekazywane docierały do ok.  $\frac{1}{3}$  części społeczeństwa<sup>15</sup>. W Lesznie, zważywszy na nadgraniczny charakter miejscowości, słuchano także radia w języku niemieckim, co w sposób istotny wzbogacało dostęp do uprawianej z wielką wprawą propagandy hitlerowskiej. Były także pisma w języku niemieckim. W prezentowanym tomie prasa i pisma lokalne, w tym także np. ulotki, nie stały się obiektem zainteresowania autorów, dlatego też ten typ źródeł nie posłużył do okazania zapewne istniejącej rywalizacji i polemiki między Polakami a Niemcami.

Omawiane tu nieco szerzej opracowanie dr Elżbiety Olender jest dobrą ilustracją nastrojów panujących na pograniczu polsko-niemieckim bezpośrednio przed agresją Niemiec. Materiał ten pokazuje również kierunek, jaki wytyczyła sobie prasa regionalna, odzwierciedlająca w istotnym stopniu poglądy Narodowej Demokracji, mającej na tym terenie nieporównanie większe wpływy niż sanacja. Zwraca uwagę, że temat sporów, rywalizacji czy walk wewnętrznych nie był odnotowany, nawet dostrzegany. Niewątpliwie dużą rolę w tym swoistym samoograniczeniu miała ówczesna sytuacja – poważna i groźna m.in. z powodu narastających napięć w stosunkach europejskich, z niekończącą się żonglerką słowem pokój. Faktycznie zaś w grę wchodziła wojna stojąca w tej części Europy *ante portas* już od kilku miesięcy. Artykuł ten kolejny raz potwierdza nie tylko sens, ale i potrzebę badań prasoznawczych, umożliwiających pokazanie lokalnych sytuacji, w tym aspiracji i motywów działań podejmowanych przez miejscową ludność. Innymi słowy, prasa, zarówno o zasięgu światowym, ogólnokrajowym czy tylko regionalnym i lokalnym, pozostaje nadal ważnym, choć od dość dawna wcale nie jedynym ani też najważniejszym, źródłem informacji o tętnie i jakości życia społecznego. Pozwala też np. śledzić toczącą się od finałowych dni II wojny światowej rywalizację o pamięć, rolę i miejsce w ostatecznym rozstrzygnięciu. Elementy te były, są i będą pochodną powszechnych dyskusji na temat znaczenia wysiłku społecznego poszczególnych państw oraz ich wkładu w zwycięstwo.

O porozumienie nie jest wcale łatwo, zważywszy na różne podejście do tej sprawy poszczególnych państw, regionów, miast itd. Tylko przez krótki czas próbowano upamiętniać dzień 25 kwietnia 1945 roku, kiedy wojska radzieckie spotkały się w Torgau nad Łabą z jednostkami ze Stanów Zjednoczonych. Ogromne trudności były związane z ujednoczeniem przez zwycięzców świętowania zakończenia wojny. Stolica Rzeszy skapitulowała 2 maja; tego

<sup>15</sup> J. Żarnowski, *Inteligencja polska i ewolucja historyczna przed wojną i w dobie powojennej*, „Roczniki Dziejów Społecznych i Gospodarczych” 2018, t. 79, s. 128 i n.



też dnia faktycznie wojska niemieckie przestały prowadzić działania bojowe w północnych Włoszech. Marszałek Bernard Montgomery, który dowodził wojskami na froncie zachodnim, przyjął 4 maja 1945 roku kapitulację armii niemieckich działających w północno-zachodnich Niemczech, Danii i Holandii. Z kolei 7 maja gen. Dwight Eisenhower w Reims przyjął akt bezwarunkowej kapitulacji, którą podpisał gen. Alfred Jodl. Znaczenie tego dokumentu, z ważnością od 8 maja, podnoszą podpisy przedstawicieli czterech mocarstw alianckich. Z Moskwy nadeszło życzenie, aby wielki akt zwycięstwa nad faszyzmem został przyjęty i podpisany w obecności przedstawicieli naczelnego dowództwa czterech głównych mocarstw. Stało się temu zadość 8 maja. Tym razem najwyższą ulokowaną w hierarchii wojskowej osobistością był radziecki generał Gieorgij Żukow. Problem o historycznym wymiarze, odzwierciedlający wszakże wyraźnie już kształtujące się różnice w podejściu do kwestii niemieckiej oraz finału wojny, zrodził się z powodu dwugodzinnej różnicy czasu między Berlinem i Moskwą. Akt bezwarunkowej kapitulacji został podpisany w Berlinie o godz. 22:30. Z radzieckiego punktu widzenia był to już 9 maja. Jedni więc zakończenie II wojny światowej łączą z aktem bezwarunkowej kapitulacji podpisanej 8 maja, drudzy za dzień zwycięstwa uważają dzień następny. Jest jeszcze trzecia data – 2 sierpnia 1945 roku, kiedy skapitulowała Japonia. Oznak, żeby ten właśnie dzień uznać za koniec II wojny światowej, jak na razie nie widać.

Historyczne spojrzenie na to swoiste przeciąganie liny w walce o szeroko rozumianą pamięć zachęca do przywołania Heraklitowej sentencji *panta rhei*. Dlaczegożby nie miało to się odnosić także do polskiej rzeczywistości. Jako osoba kształtowana i wychowana w kulturze i aspiracjach Polski piastowskiej dostrzegam rosnącą preponderancję kultury historycznej opartej na tradycjach jagiellońskich. Współbrzmia one z dominacją, w wiekowych już władzach państwa polskiego, osób kształtowanych przez tradycję Królestwa Polskiego i historiozofię jagiellońską. Politycy i wojskowi tego nurtu znajdowali nierzadko wspólny język z tradycją austro-węgierską, której fundamentem było kalkulowanie – jak to zgrabnie w tytule książki podkreślił prof. Waldemar Łazuga. Oświecił nas w tej materii na jednym z zebrań plenarnych LTPN, kiedy promował pracę zatytułowaną właśnie *Kalkulować*.

Zmieniających się proporcji między eksponowaniem znaczenia agresji hitlerowskiej na Polskę na rzecz tragicznych wydarzeń na granicy wschodniej po 17 września trudno nie łączyć ze swoiście pojmowaną rusofobią. Zwolennicy tej orientacji wybitną pomoc czerpią z trwającej, regionalnie nasilającej się tzw. dekomunizacji, dzięki której usuwa się to, czego nie było. O ile wiem, deklarację o podjęciu budowy państwa komunistycznego złożył tylko Związek Radziecki. Celu tego nie potrafił czy nie zdążył zrealizować. Zresztą dla podjętego tutaj wątku nie ma to żadnego znaczenia. Inne państwa obozu, przynajmniej Polska, określały swoją ideologiczną drogę jako budowę rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Trącam tę sprawę powodowany



Pomnik upamiętniający poległych żołnierzy Armii Czerwonej rozebrany 7 lutego 2020 roku

informacją PAP, że „Leszno zdekomunizowane”. Czy aby definitywnie i tylko przez fakt, że usunięty został pomnik upamiętniający śmierć żołnierzy walczących z okupantem niemieckim w Lesznie i okolicach w 1945 roku? Dekomunizatorzy odnieśli więc sukces, odmierzany wszakże klęską historyka i smutkiem honorowego obywatela miasta. W dziale Aktualności na stronie internetowej Leszno. Rozwiń Skrzydła 11 lutego 2020 roku napisano, że betonowe bloki przewieziono do bazy Miejskiego Zakładu Zieleni, a tablice z napisami w języku polskim i rosyjskim „Wieczna chwała Bohaterom poległym w walce o wolność i niepodległość Związku Radzieckiego i Polski” zabierze IPN. Jego przedstawicielka Ewa Liszkowska była obecna przy rozbiórce. Na końcu tej informacji podano również, że decyzję o likwidacji pomnika wydał wojewoda wielkopolski, który powołał się na stanowisko IPN. PAP informowała: „Do piątku 7 lutego ma zostać zdemontowany pomnik żołnierzy Armii Czerwonej znajdujący się na skwerze między Lipową a Starozamkową. Po decyzji wojewody demontażem zająć ma się Miejski Zakład Zieleni z Leszna. Skwer ma jednak pozostać miejscem pamięci, ale już nie czerwonoarmistów”. Mogę więc powiedzieć z czystym sumieniem, że wojewoda Łukasz Mikołajczyk złamał wolę przynajmniej połowy radnych Leszna, którzy już w poprzedniej kadencji nie godzili się na realizację ustawy dekomunizacyjnej w kontekście pomnika upamiętniającego poległych żołnierzy radzieckich. Jeśli samorządowcy przeciwni zburzeniu pomnika reprezentują połowę obywateli miasta, to wojewoda także działał wbrew ich woli, a nawet ją zlekceważył.

Dostrzegane na co dzień przepoławianie narodu/obywateli jest – z punktu widzenia nadrzędnych interesów państwa i narodu – tendencją fatalną. Dla Polski, która w swej historii doświadczyła destrukcyjnych skutków rozczłonkowania, wartością najwyższą jest ciągłość dziejów, na które składają się wszystkie elementy przeszłości. Wyrokowanie, które z nich zasługują na pamięć i kultywowanie, a które nie, nie może łączyć się z kaprysmi zmieniających się rządów. Żaden relikwyt przeszłości nie może być niszczone. Jeśli jest zły, niegodziwy, rani nasze umysły i plami duszę, powinien trwać jako *memento* dla współczesnych. Cóż zatem czynić, jeśli niemal równoważne części mają odmienne cele, a nawet wyobrażenie o tym, co było ważne, godne pamięci z punktu widzenia minionych pokoleń?

Dla mnie, mniającego się zawodowym historykiem, nie mają większego znaczenia szyldy, jakie wypiszemy na doraźnych aktach prawnych, jeśli ich zamiarem jest rugowanie lub zacieranie pamięci o przeszłości. Każdy jej element jest lub powinien być wartością godną obrony i ochrony ze strony ludzi rozumnych. Nienawiść zawsze była bardzo złym doradcą. Poza wszystkim nie jest w stanie mnie przekonać nie tylko pracownik instytucji specjalizującej się w uprawianiu niepamięci narodowej, ale także wojewoda ze swoimi służbami, że z pomnika w Lesznie wyzierał komunizm i totalitaryzm – cokolwiek byśmy sensownego przez te pojęcia rozumieli. No właśnie sensownego, bo żonglerka nimi przez niektórych polityków raczej zasmuca niż żenuje.

Wojewoda Łukasz Mikołajczyk zapewne nie został dobrze poinformowany przez wnioskodawców, mających zresztą nie najlepszą opinię w środowisku historyków i archiwistów, że dokonał zamachu na najstarszy, w pełni oryginalny pomnik w Lesznie, najściślej związany z polską historią tego miasta i niepodległego państwa polskiego. Wprawdzie w 1898 roku przy kościele św. Jana pojawił się pomnik Comeniusa, jednak było to dziełem wyrafinowanej polityki zaborców. Budowa tego niewielkiego obelisku z popiersiem wybitnego pedagoga wiązała się z przejściem przez państwo pruskie miejscowego gimnazjum noszącego od tego momentu nazwę Królewskie Gimnazjum Komeńskiego w Lesznie<sup>16</sup>. W 1947 roku przeniesiono obelisk na obecny pl. Jana Amosa Komeńskiego i do dziś stoi tam przed delegaturą WUOZ. To jest dziś najstarszy pomnik w Lesznie, ale przecież nie stawiali go Polacy.

Także połowie członków Rady Miejskiej – a i mieszkańców – warto uprzytomnić zmienne koleje leszczyńskich monumentów. Z informacji uzyskanych od bardzo dobrego znawcy architektury i urbanistyki leszczyńskiej prof. Mirona Urbaniaka wiem, że najstarszy pomnik w Lesznie postawili Prusacy w parku Kościuszki w 1876 roku. Była to Germania usytuowana na wysokiej kolumnie, która miała upamiętniać poległych z Leszna i powiatu w wojnach zjednoczeniowych Niemiec, czyli z Austrią (1866) i Francją (1870–1871).

<sup>16</sup> S. Nawrocki, *Leszno pod zaborem pruskim*, [w:] *Historia Leszna*, red. J. Topolski, Leszno 1997, s. 204.

Komemoracyjny charakter obiektu podkreślały kamienne tablice z wrytymi nazwiskami poległych, zamocowane w partii cokołowej kolumny. Pomnik ten nie miał szczególnie silnych konotacji negatywnych – symbolizował pamięć o zjednoczonym cesarstwie i podkreślał jego potęgę, która istotnie po zadaniu klęsce Francji sięgnęła zenitu<sup>17</sup>. Pod tym względem Leszno miało więcej szczęścia niż inne miasta regionu, gdzie symbolami zjednoczenia i pruskiej dominacji stały się sylwetki lub pomniki konne upamiętniające Bismarcka, Fryderyka czy Wilhelma I. Niemniej jednak Germanię jako symbol panowania pruskiego zlikwidowano, robiąc miejsce dla pomnika Powstańców Wielkopolskich, który odsłonięto w 1924 roku. Podczas II wojny światowej został on zrównany z ziemią, ale w 1957 roku zrekonstruowany powrócił na stare miejsce<sup>18</sup>.

W 1945 roku bardzo skromny zasób leszczyńskich pomników wzbogacił się o zespół memorialny poświęcony poległym żołnierzom radzieckim uczestniczącym w walce o wolność swojego kraju i Polski. Sam projekt pomnika został wykreślony przez miejskiego radcę budowlanego Józefa Smakulskiego już w marcu (sic!) 1945 roku, więc na kilka miesięcy przed końcem wojny. Mało czytelną kopię projektu, znajdującą się w archiwum w Lesznie i wykonaną na kiepskim papierze, sygnował miejski urząd budowlany. Rada Miejska 5 kwietnia 1945 roku uchwaliła postawienie pomnika „poległym żołnierzom sowieckim i polskim na cmentarzysku u zbiegu ulic Lipowej i Starozamkowej. Pomnik wybuduje się kosztem zarządu miejskiego i z ofiar obywatelskich”. Projekt został zatwierdzony przez zgromadzenie radnych 13 kwietnia<sup>19</sup>.

Także w tym dokumencie powtórzono formułę, że pomnik dotyczy „poległych żołnierzy polskich i sowieckich”. Pomnik i nagrobki wykonało leszczyńskie przedsiębiorstwo rzeźbiarsko-kamienniarstwo Michała Boksa<sup>20</sup>. Uroczystości związane z odsłonięciem tego cmentarza, w którym pochowano 49 żołnierzy, miały miejsce 22 czerwca 1945 roku. Był to zarazem hołd dla 50 poległych pochowanych na cmentarzu przy ul. Kąkolewskiej. Tym samym obiekt memorialny ulokowany na rogu ulic Lipowej i Starozamkowej upamiętniał śmierć 99 żołnierzy. Tyle bowiem ciał ekshumowano w 1952 roku, kiedy został utworzony w Rawiczu regionalny cmentarz poległych żołnierzy

<sup>17</sup> M. Urbaniak, *Leszno w latach 1832–1914. W drodze ku nowoczesności*, Łódź 2016, s. 279; zdjęcie pomnika Germanii znajduje się w książce Elżbiety Olender i Mirona Urbaniaka *Materiały archiwalne do dziejów Leszna*, Leszno 2017, s. 248.

<sup>18</sup> Jest reprodukowany w poprzednim tomie „Rocznika Leszczyńskiego”.

<sup>19</sup> Archiwum Państwowe w Lesznie (dalej APL), Państwowa Służba Ochrony Zabytków, Oddział Wojewódzki w Lesznie, P. sygn. 7.

<sup>20</sup> Wystawiony przez niego rachunek opiewał na ponad 40 tys. zł. W APL znajduje się potwierdzenie zapłaty 30 tys. zł w trzech ratach, płatnych w czerwcu i dwie w lipcu. Specyfikacja rachunku zawiera informację, że cena jednego nagrobka to 995,80 zł.



Odślonięcie pomnika poległych żołnierzy radzieckich i cmentarzyska 22 czerwca 1945 roku

Źródło: APL, Henryk Frąckowiak spuścizna (1922–1994, fotograf Leszna i regionu leszczyńskiego), sygn. 1.

Armii Czerwonej. Nie jest to jednak lista kompletna. Jerzy Bogdanowicz ustalił, że na terenie powiatu leszczyńskiego na zawsze pozostało 172 żołnierzy<sup>21</sup>.

Znajdujący się w archiwum „Spis pochowanych sierżantów i żołnierzy Armii Radzieckiej na terenie powiatu, zabitych w Wielkiej Wojnie 1941–1945 r.” opieczętował Powiatowy Zarząd Budowlany Starostwa Powiatowego Leszczyńskiego. Najpewniej jednak spis ten został dostarczony przez komendaturę radziecką w Lesznie. Żaden mieszkaniec Leszna nie napisałby o „wielkiej wojnie 1941–1945” i to z dwóch powodów. Po pierwsze określenie wielka wojna było zarezerwowane w tradycji polskiej i powszechnej dla I wojny światowej. Dla Rosjan, żołnierzy Armii Czerwonej i ich rodzin, które opłakiwały ok. 13 mln poległych ojców, braci, nieraz sióstr, kończąca się zdobyciem

<sup>21</sup> J. Bogdanowicz, *Ziemia leszczyńska styczeń 1945 – opracowanie wojskowo-historyczne*, Leszno 2013, s. 98.



Berlina wojna była od samego początku wielka. Po drugie nie do przyjęcia byłoby datowanie II wojny światowej od 1941 roku. Jak już o tym pisano wyżej, taką chronologię przyjęli Rosjanie. Na wspomnianej liście znajdują się osoby w różnym wieku – najstarszy miał 43 lata, najmłodszy 19. Najwięcej, bo 32, było bezimiennych żołnierzy, którzy polegli w Lesznie lub najbliższej okolicy. Zostali pochowani w masowej mogile na cmentarzu katolickim przy szosie kąkolewskiej, bez pomnika i napisów<sup>22</sup>.

Decyzja wojewody Mikołajczyka nie wywołała protestów ze strony owych bezimiennych ofiar wojny, chociaż w swoim czasie oplakiwali ich rodzice i najbliżsi, bo do domu nie wrócili. Inaczej rzecz się ma z osobami wymienionymi z imienia i nazwiska, stopnia itd. Wojewoda, działając na podstawie wątpliwych opinii przedstawicieli IPN-u, swoją osobistą decyzją wywołuje zasadne protesty i złość ludzi, dla których polegli żołnierze byli z jakichś osobistych powodów ważni. Widzę i oceniam zaistniałą sytuację w kontekście powszechnie dostępnej prawdy, że dla ogółu Rosjan ofiary poniesione w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej były i są świętością. Dla nich likwidacja podobnych miejsc, jak to na rogu ulic Lipowej i Starozamkowej w Lesznie, to coś znacznie ważniejszego niż pogoń za antykomunistyczną mrzonką. Wśród najbardziej Polsce życzliwych Rosjan podobne czyny uchodzą za przejaw braku przyzwoitości, który cechuje cywilizowany świat w obliczu śmierci.

Wojewoda Mikołajczyk nie tylko mieszkańcom Leszna pokazuje swoją urzędniczą władzę, zakotwiczoną poprzez rządowe desygnowanie na stanowisko. Dla mnie jest to ewidentne wskazywanie drogi mającej pogłębić podział obywateli kraju na dwa fronty. Bardzo się tego boję. Lepszym przejawem stosunku do przeszłości określonej krwią żołnierzy rosyjskich/radzieckich i polskich jest złożenie wieńców przez Urząd Marszałkowski w Poznaniu na górnym tarasie Cytadeli z okazji 75. rocznicy zakończenia okupacji niemieckiej i walk o Poznań. Obchody te odbyły się 23 lutego, o czym mogliśmy przeczytać i obejrzyć stosowne zdjęcie w marcowym wydaniu „Monitora Wielkopolskiego”, będącego organem Wielkopolskiego Urzędu Marszałkowskiego. Sytuacja w Lesznie, także moim mieście, była diametralnie różna. Wedle tzw. miarodajnych informacji decyzja o likwidacji pomnika została podjęta przez poprzedniego wojewodę Zbigniewa Hoffmanna, który zakończył urzędowanie w listopadzie 2019 roku. W spadku następcy, reprezentującemu analogiczną filozofię społeczno-polityczną, pozostawił egzekucję. Decyzją urzędnika państwowego, przedstawiciela rządu państwa polskiego w terenie, pozbyto się brzydkiego kaczątko, które jednak nie dla wszystkich było takie brzydkie czy nawet odrażające. „Zamknijcie wieko tej trumny” – zdawały się sugerować leszczyńskie gazety. Tym można tłumaczyć, że likwidacja pomnika upamiętniającego 99 poległych żołnierzy radzieckich w Lesznie i okolicach nie spotkała się z godnym tego wydarzenia zainteresowaniem. Bardzo skromną,

<sup>22</sup> APL, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Lesznie, sygn. 811, k. 31.



wręcz lakoniczną informację z przebiegu całej operacji, zdominowaną kilkoma fotografiami, znajdziemy w „ABC” – ważne, że „[r]ozbiórka odbyła się spokojnie”. Według „Panoramy Leszczyńskiej” wydarzenie to nie miało żadnego znaczenia ani wartości informacyjnej. Nie podzielam tego lekceważenia, także w kontekście przytoczonych wyżej słów odnośnie do ważnej roli lokalnej prasy jako rejestratora wydarzeń godnych pamięci. Spór o to, co jest godne, a co niegodne, pozostawiam do rozpatrzenia przyszłości. Na obecnym etapie opisywanej powyżej sytuacji rolę miejscowej prasy z nawiązką wypełniają informacje dostępne w internecie – np. na stronie Leszno. Rozwiń skrzydła.

**Stanisław Sierpowski**